

Karzołki i opowieść wigilijna

Od Zabrzega aż po Pierściec ciągnie się ogromniasty las. Tylko najstarsi ludzie pamiętają o jego dawnych, baśniowych mieszkańcach, o małych leśnych ludkach, zwanych karzołkami, a gdzie indziej krasnoludkami. Mieszkały one w wygodnych siedzibach rozrzuconych po całym lesie, zwłaszcza pod wykrotami przewróconych drzew, wokół których wyplatały ściany z



gałęzi. Zagłębienie w ziemi chroniło zimą przed mrozem, a po stromym dachu z grubego sitowia szybko sphywał deszcz. W domkach było przytulnie i ciepło. Szczeliny ścian wypełnione były mchem, na podłodze leżały borsucze skóry, a sypiało się na stróżokach wypchanych pachnącą wósióną.

Karzołka łatwo było rozpoznać i odróżnić od innego mieszkańca lasu, gdyż przypominał człowieka, lecz wzrostu zaledwie półmetrowego. Chłopcy i panowie nosili krótkie spodnie na szelkach, wysokie podkolanówki, starsi do tego mały kapelusik. Panny i kobiety były bardzo urodziwe, ubierały marszczone sukienki koloru czerwonego lub niebieskiego, a ich włosy były przedmiotem największej dumy, gęste i długie sięgały pasa a nawet samych kolan. Karzołki nosiły krótkie imiona, jak na przykład Tyś czy Koś, zapewne odpowiedniki Tymona i Kornela, a także Staś, Ceś, Fraś i tym podobne. Czasem powodowało to zabawne sytuacje. Gdy mama wołała na syna Staś, Staś, Staś, w wielkim pośpiechu przybiegały kaczkę, którym wydawało się, że słyszą taś-taś-taś.

Przez cały ten wielki las płynie czarowna struga o nazwie Bajerka. Kiedyś, gdy nie było zapory, wpływała do Wisły na zabrzeskim Podjaziu. Bajerkę można nazwać rzeką stu meandrów, lecz tak naprawdę tych zakrętów i zakoli może być więcej niż dwieście! Przez to jest niezwykle malownicza. Niektóre karzołki utrzymywały się właśnie z tej rzeki, gdyż zajmowały się flisactwem.

Jedna z rodzin zamieszkiwała solidny wykrot sosnowy tuż nad Bajerką. Mama prowadziła gospodarstwo domowe i wychowywała dzieci, a ojciec miał bardzo interesujące i rzadkie zajęcie, gdyż właśnie był flisakiem. Zajmował się spławianiem towarów Bajerką ze Skoczowa aż ku Wiśle w Zabrzegu. Ich dzieci, starszy Tyś oraz młodszy Koś, uczęszczali do leśnej szkółki. Raz w tygodniu, w dniu wolnym od nauki, pomagali ojcu we flisactwie, co zajmowało im cały boży dzień, ale było dla nich nadzwyczaj atrakcyjne. Dzisiejszego dnia babcia Basia wyprawiała mężczyzn do roboty, bo mama pojechała do miasta w ważnej sprawie. Do pytlczków spakowała każdemu butelkę smacznej zbożowej kawy i wielką klapsznię z bobrowym sadłem, a do stoika koziego sera. Pyszności!

Praca flisaków wyglądała tak. Najpierw w umówionych miejscach zbierali zamówienia, potem kupowali towary w mieście, spławiali je w dół Bajerką i przekazywali swoim klientom. Większość zwierzątek nie umiała pisać, więc na listkach rysowały to, co chciały, by im zakupić i rysowały swoją podobiznę. Zamówienia więc wyglądały tak:



namalowany słoik z dżdżownicami, a pod spodem narysowana żaba. Albo: dwie kapusty, trzy marchewki i wizerunek zająca. Zaś jedna kartka miała takie rysunki: lusterko i pięć koralików, lecz zamawiający zapomniał się podpisać, to znaczy narysować. Kto mógł zamówić takie przedmioty? Tato karzołek nie wiedział, więc może ktoś odgadnie?

Gdy gromada trzech dzielnych karzołków, Tyś, Koś i ich tato zebrali już większość zamówień i byli już w trzech czwartych drogi, usłyszeli odgłosy zdyszanej lisicy biegnącej przez gęsty zagajnik, a potem wołanie:

- Karzołki, czekajcie! Jeszcze ja mam ważną sprawę!

Zza drzew wyłoniła się ruda postać, która dobiegła jak zawsze w ostatniej chwili, z językiem na wierzchu, wachlująca się jak dama swoim imponującym, naturalnym wachlarzem, czyli ogonem. Szybko podała listek z zamówieniem, ale na nim nie było żadnych niespodzianek jak dla znanej amatorki drobiu - tusty indyk i dwie porcje rosółowe.

- Nie muszą być świeże! Byle bez piór!

- Rozumie się, pani lisico.

W pewnym momencie swej wędrówki zauważyli, jakby ktoś chował się w dudławej wierzbie nad samą Bajerką.

- Ktoś taki? Wychodź stamtąd, jak masz dobre zamiary, a jak nie, to zmiataj od razu, bo cię z moimi chłopakami tymi kijami obijemy!

Słowa poskutkowały, bo z obszernej wierzbowej dziupli wygramolił się drżący ze strachu, a może wstydu, jegomość na czarno ubrany. Zamiast stóp miał kopyta, przez co całkiem podobny był do leśnego diaska boruty. Jedno nie pasowało, że taki strachliwy. Lecz wkrótce i to się wyjaśniło.

- Panie karzołku, nie poznajesz mnie, nieustraszonego borutę, króla lasu?

- A coś pan taki sponiewierany, panie diable, obraz nędzy i rozpaczy... I co oznacza ten turban na głowie?

- Wiysz pan coś chyba o tej diabelski maszynie, co to jóm ludzie wymyślili. Nadyć bicygiel zech se kupił, żeby gibko kogo postraszyć i na tym bicyglu zech się paskudnie rąbnył w drzewo. Skutek taki, że róg na głowie urwany. Dla niepoznaki zech owinył łeb ręcznikym. Ale jak tu dioskowi żyć bez rogów? Całym stracym autorytet. Być pan taki dobry i kup mi pan w mieście protezę lewego rogu.

- Zaraz, zaraz, ale gdzie ja taki diabelski róg kupię? W całym Skoczowie nie znam takiego sklepu.

- Idź pan do masarni niedaleko rynku, dobier mi pan róg z byka, rozmiar dziesięć cali. Byle był wielki i gruby, kolor nieważny. Dobrze zapłacym.

Flisacy poszli dalej. Przy ostatnich zakolach rzeki czekało jeszcze kilku chętnych ze swoimi zamówieniami: smukła sarenka, dwie dowcipne wiewiórki i jakieś wesołe straszki - kto się ma takich bać? A jako ostatnia stała wszystkim tu znana czarodziejka Zoła, mieszkanka domku na kurzej stopce na łysej polanie. A każdy coś chciał, co było mu niezbędne. A rozmaite były to rzeczy, wedle potrzeby i upodobania.

Las z wolna zaczynał się przerzedzać, wędrowcy skoro znaleźli się we wsi Pierściec. Nikogo nie dziwili tutaj osobnicy niskiego wzrostu z workami na plecach, gdyż do słynnego kościoła w Pierścu przychodzili pielgrzymi z odległych stron o różnym wyglądzie i ubraniu. Karzołki, jak ludzie, były religijne, wstąpiły po drodze w progi świątyni, gdyż św. Mikołaj pierściecki słynie z uzdrowień, a karzołkowym dzieciom kojarzy się także z Mikołajowymi prezentami.



Od tego miejsca niewiele było już drogi do samego Skoczowa. To niepokąźne miasteczko chlubiło się znakomitym zaopatrzeniem we wszelki towar w licznych sklepach wokół rynku, przede wszystkim zaś było znane ze słynnego skoczowskiego jarmarku, do którego właśnie się zbliżali.

- Kómu, kómu, bo idym do dómu! – darł się głośno jakiś sprzedawca, zachwalając swój towar.

W jednym miejscu targowiska kwiczały małe babučky, w innym beczały cielątka stęsknione za krowami. Kury i kaczki, indyki, króliki stały na przemian ze zwierzętami wielkimi, końmi i krowami. Miały niepewne miny, bo nie wiedziały, czy do dobrego gospodarza trafią. Na skoczowski targ zjeżdżali sprzedawcy i kupcy z dalekich stron, szczególnie po domowe zwierzęta. Ale karzołki nie były zainteresowane tą ofertą, szukały drobnych przedmiotów użytku domowego, a tego bynajmniej nie brakowało. Na stołach i w kramach było wszystko, czego dusza zapragnie: czeskie buty wszystkich rozmiarów, materiały na ubrania prosto z Bielska, skoczowskie modne kapelusze, tyżki drewniane, rogołki, zabawki wystrugane przez istebniańskich górali, koniakowskie pięknie heklowane koronki do ozdabiania mieszkań i damskiego stroju, czechowickie zapałki zwane siarkami i naftowe lampy na czechowski petrol, mąka tortowa prosto z kończyckiego młyna, patelnie, garnki, końskie podkowy z ustrońskiej kuźni, białe kryształowe słodziutkiego cukru z chybskiej cukrowni, brackie piwo wprost z księżęcego browaru w Cieszynie, strumieńskie kołoczce i kołoczyczki z grubą posypką, karpie z landeckich i ligockich stawów, bloki aromatycznego imbiru z goździkami, miód dzięgielowski, lukrowane piernikowe serca z Pierśca, pszczyńskie oblaty o smaku waniliowym, wielkie tytki z wodzisławskimi bómbónami, kopalnioki, szkłoki, kanoldy, cukierki anyżowe i sztolwerki. Mydło, widły i powidła, „blaszane zegarki, pierzaste koguciki, baloniki na druciku, motyle drewniane, koniki bujane, cukrowa wata i z piernika chata.”

Tatuś karzołek musiał powstrzymywać synków przed zakupowym szaleństwem zwłaszcza, że zamówienia były już niemal skompletowane. W końcu przyszedł moment opuszczenia kolorowego jarmarku i karzołki przeniosły się na skoczowski rynek do sklepów z pięknymi, kuszącymi wystawami. Dzwoniący na ratuszowej wieży zegar umiłił im zakupy, które przebiegły szybko i sprawnie. Na sam koniec pozostała tylko wizyta u masarza z powodu diabelskiego rogu.

- A do czegoż wóm tyn byczy róg potrzebny? – zapytał masarz. - A tam..., wolałbym nie mówić, bo i tak nie uwierzycie.

- Jak tam chcecie, panie karzołku. Jak bych wiedzioł, to bych wóm jak najlepszy towar wybroł.

- Adyc powiem, że dla diaska boruty jest to zamówienie, bo sobie złamał róg, jak na bicyglu jechał.

- Na bicyglu? I wy w to wierzicie? Tyn dioboł to patyntowany cygón. Prowda je tako, a w całym Skoczowie już to wiedzóm, że go własno baba fest oprąła skiż tego, że roboty nie

pilnuje. Mosz pan tu taki róg, co mu spasuje. Znóm dobrze tego gościa, ón ni ma zbyt wybredny.

Na tym karzołki zakończyły zakupy.

- Chłopczy! Ale jak my to wszystko teraz nad rzekę zaniemiemy?

Trzeba było iść każdemu kilka razy po towar. Jak już byli nad rzeką, z drewien z pobliskiego tartaku ojciec zmontował tratwę. Droga powrotna będzie już łatwa i przyjemna, gdyż nurt wody w Bajerce poniesie ich rychło w dół. W ten sposób będą spławiać towary do kolejnych rzecznych zakoli, gdzie już na nie czekają zniecierpliwieni klienci. Przed nimi więc najprzyjemniejszy etap pracy, podróż na tratwie przez najpiękniejsze miejsca wielkiego lasu.

Gdy cały towar znalazł się na tratwie, ojciec zarządził krótką przerwę na posiłek. Zjedzono wszystko, co przygotowała babcia, z czego najbardziej smakował chleb kraszony bobrowym sadłem z żurawiną. Na deser znalazły się też maskiety kupione na targowisku, co jedno, to lepsze. Gdy żołądki były pełne, odbili od brzegu.

Tratwa z flisakami z lekkością płynęła z nurtem rzeki, Bajerka łagodnie obchodziła się z pasażerami, Tyś i Koś rozkoszowali się tą przyjemną jazdą aż do pierwszego zakrętu przy lesie. Było to jedno z niebezpiecznych miejsc, dobrze znane ojcu, zwane „czornym plosem”, gdzie szalona woda pędzi wprost w stronę wysokiego brzegu, o który z łomotem uderza, po czym tworzy wielki, kręcący się wir. Tratwą nagle targnęło, zawirowało. Ojciec zdążył krzyknąć:

- Chłopczy, kucnijcie i trzymajcie się liny!

On zaś walczył z wodnym żywiołem przy pomocy długiej żerdzi. Odpychał tratwę, by nie uderzyła o brzeg, gdyż mogłaby się rozbić. To z jednej, to z drugiej strony z wielką wprawą, po mistrzowsku odbijał od brzegu. Tratwą dalej kręciło jak na karuzeli. Wreszcie wyrwali się z wirowej pułapki i wpłynęli na spokojną wodę. Nagle wszystko, co złe, ustało, tratwa miarowo i łagodnie zakotysała się na wodzie. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze przed chwilą miotało nimi i byli w wielkim niebezpieczeństwie. Ojciec otarł pot z czoła, synowie powstali i już za chwilę zapomnieli o całej sprawie, tym bardziej, że przy najbliższym zakolu czekała na nich pierwsza klientka, żaba.

- Już godzinie, jak was wyglądom i żech się już starała, czy aby wóm co złego się nie przitrefiło!

- Adyc isto, w „czornym plosie” nami porządnie powywiјаło.

- A jak tam zakupy? Pamiętaliście choć o mnie, starej żabie?

- Dyc przecie, każdy klient jednako ważny.

Karzołek odszukał listek z wizerunkiem żaby i patrzy, co tam narysowane.

- A... już wiem wszystko, zamawialiście chustkę na głowę, ciepłą i nieprzemakalną, no i duży stoik z dżdżownicami.

Koś wyjął z worka paczkę, podał Tysiowi, Tyś z kolei tatusiowi, a tatuś żabie. Żaba zaraz rozpakowuje i mówi:

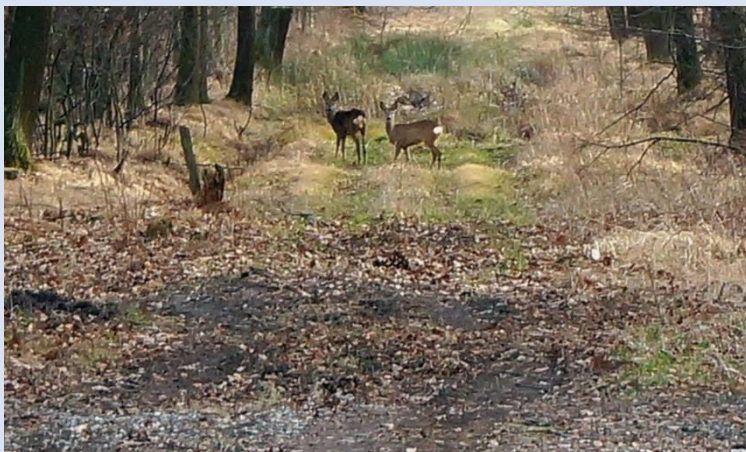
- A ciemniejszej nie było? Starej żabie ciemny kolor bardziej pasuje.

- Cóż też pani żaba opowiada, jaka tam stara, jeszcze niejeden oglądnie się za tą... chustką.

- Rege-re-re - zarechotała żaba z wielkiego zadowolenia. - A te glizdy choć świeże? Kiedyś sama żech chytała, a teraz musimy kónserwowe kupować.

- Pewnie że świeże, jeszcze różowiotkie, palce lizać..

Flisacy odpłynęli do następnego zakola, przy którym zza trawy czujnie wyglądała płochliwa, młoda sarenka. Najpierw widać było jej pionowo sterczące uszka, potem okrągły, wilgotny nosek, wreszcie piękne piwne oczy. Koś już sięgał po towar dla sarenki i szybko podał ojcu. Sarenka jako wielka paradnica zamówiła sztuczne rzęsy, gdyż chce być najpiękniejsza w lesie, żeby młody jelonek zwrócił na nią uwagę, choć i tak jest bardzo atrakcyjna, a nóżki ma najzgrabniejsze w lesie, jak to sarenka.



- Proszę, to dla panienki, piękne rzęsy na zamówienie i to niedrogie. Na pewno spaszują i będzie panienka jeszcze piękniejsza.

Sarenka była małomówna, spojrzała radosnymi oczkami na zakupioną rzecz i spłonęła rumieńcem od komplementu, który jej powiedział karzołek. Już

sobie wyobraziła, jak przechadza się taka piękna po lesie, a inne sarny jej zazdroszczą, a potem napotyka ukochanego jelonka, patrzą na siebie zakochani, długo nie odrywając oczu...

Przy kolejnym zakolu miał czekać jeź, lecz nie było go tam widać. Albo nie zdążył przydreptać, albo zaszył się gdzieś w trawie. Jeź wiecznie coś noszą na tych kolcach i w ten sposób nieźle się maskują. Nareszcie wyszedł z chrustu, cały obrany szwagrami.

- Halo, panie jeżu, podejdź pan wreszcie po to swoje zamówienie. Tyś zanurzył rękę w worku, gdzie były same butelki i słoiki, i wydobyl jakiś płyn siniego koloru. Jeź zamówił preparat do utwardzania kolców, bo mu zmiękły po ostatnich kwaśnych deszczach z chmury, którą przywiał wiatr znad Trzyńca.

- Sakreble, całe szczęście, że jest ten regeneratory do igieł, bo mam je już takie miękkie i tępe, że żadne jabłko nie chce się nabić.

Zabrał flaszkę i zadowolony oddala się.

- Zaraz, zaraz - woła karzołek - ale pieniędzy żeś pan mi nie dał!

Jeż pomruczał, pofukał niezadowolony, wyjął jakąś ubrudzoną monetę i podał ojcu. Było tych pieniędzy trochę mało, ale karzołek machnął na to ręką, gdyż nie chciał przedłużać rozmowy z tym mało kontaktowym jegomościem. Tratwa odbiła od brzegu i znów wartko płynęła, tym razem przez dłuższy, bezludny odcinek, by dotrzeć do zakola pod złotą sosną, gdzie już stało dwóch następnych klientów.

- Koś, podaj mi te okulary, a ostrożnie, żeby się nie stłukły albo nie wpadły do wody.

- Pójdź, pójdź, pójdź! - słychać było głośne, nieco natarczywe wołanie.

Koś popatrzał na Tosia, Toś na ojca, spodziewając się dowiedzieć, kto kogo woła. Jednak nikt nie wołał, tylko na niewysokiej gałęzi siedziała sowa pójdzka, która ma po prostu taki śpiew. Sowa pracowała w leśnej poczcie, a miała bardzo słaby wzrok, więc często zmieniała okulary na coraz to większe. Ale to nic nie dawało, bo większe wcale bardziej nie powiększają, tylko takie z grubszym szkłem, ale sowa tego nie wiedziała, dopiero karzołek jej to powiedział.

- Wypróbuj pani te okulary - powiedział karzołek, podając jej szkła w modnej oprawie.

- A to ci, a to ci! A to ci teraz dobrze widzę. Koś przez te okulary jest większy od Tosia. A to ci dobre okulary! Już teraz wszystko będzie duże! – ucieszyła się, po czym zerwała do lotu, lecz uderzyła w pierwsze napotkane drzewo, aż huknęło.

- A to ci ... pani sowo... musi pani przyzwyczajać się stopniowo do nowych okularów, powoli, spokojnie, aż dojdzie się do wprawy. Nie trzeba latać zbyt szybko. Co nagle, to po diable, jak gadają!

Wypowiedziane słowo „diable” przypomniało mu od razu borutę, który zamówił byczy róg, a był następnym klientem. Tratwa spłynęła w dół o dwa zakola, tam, gdzie rosła wielka dudława wierzba, a w niej miał czekać diasek.

Karzołki podchodzą do drzewa, a diaska nie widać. Stukają, pukają, wreszcie ozwał się jakiś ospały głos:

- Dzisiaj diasek boruta nie przyjmuje, bo jest na chorobowym! Maroduje! Idźcie sam precz, do dioska kandego!

- Halo, to my, karzołki, z tym zamówionym rogiem ze Skoczowa!

- A... to wy... Holinder, dyć wyboczcicie, boch se przispoł, ze zgryzoty piwko wypił i na spanie mnie zebrało. Do stu lucyferów, jakież tyn róg żeście mi obrali, nie bydzie za mały?

Boruta zaczął oglądać róg, obracał go we wszystkie strony, ważył w ręce, opukiwał, sprawdzał twardość, w końcu przystawił do kudłatego łba. Zafungowało. Zerknął do brudnego, obrośniętego pajęczynami lustra i oczka zaświeciły mu się z radości.

- He! Dobre to byde mioł! Hnet lepsze od oryginału. Ale zaś ludzie bydóm sie diobła bać! I o to chodzi, i o to chodzi.

Diosek szczerze zapłacił i nawet reszty nie chciał.

- Oby prawdziwymi pieniędzmi, bo raz jeden zdarzyło się, że następnego dnia diaselskie pieniądze w liście dębowe się pozamieniały – przypomniał sobie karzołek.

Popłynęli dalej. Tylko jeden klient nie znajdował się na brzegu rzeki, ale w wodzie, lecz trudno się dziwić, skoro to istota wodna. Poniżej miejsca, gdzie rośnie krzywa brzoza nad urwiskiem, jest w rzece płycizna, którą za siedzibę obrał sobie wielki, czerwony rak. Nieborak obserwował stąd okolicę, co jakiś czas wspierał się na wielkich szczypcach i wynurzał do połowy. Czekał cierpliwie na karzołków, aż się doczekał.

- Dzień dobry, panie raku! Mamy dzisiaj małe opóźnienie, bo klientów nazbierało się co niemiara.

- Ależ nie szkodzi, mnie tam bez różnicy. I tak muszę w tej rzece dzień i noc siedzieć, ani po ziemi chodzić nie mogę, ani w powietrzu latać, bo tak mnie Pan Bóg stworzył. Ale nie narzekam, tylko mówię, jakby się kto pytał.

- Już szukamy co trzeba, zaraz się znajdzie. Ha! Ale niespodzianka! Ostatni towar jaki został, musi być zatem dla pana raka, a jest to lustерko i pięć koralików. Tajemnica niepodpisanego zamówienia się wyjaśniła! Ale bym się tego nie spodziewał! Rak funduje sobie lustерko i jeszcze korale?

- O, jakie piękne! – zareagował podekscytowany rak.

- Przepraszam panie raku, nie wypada być tak ciekawskim, ale do czegoż potrzebne rakowi lustерko i korale? Czy będzie się przed tym lustrem w korale stroił?

- Nic z tych rzeczy. To nie dla ozdoby. A to nie wiecie, że rak tyłem do przodu chodzi? Jak sobie zamontuję lustерko wsteczne, to mi znacznie ułatwi poruszanie i poprawi bezpieczeństwo. Ostatnio w wodzie ruch coraz większy. Korale natomiast włożę sobie do aparatu równowagi, gdyż taki posiadam. Normalnie to się tam wkłada małe kamyczki, ale korale są trwalsze, no i prestiżowe, ostatnio u raków modne.

- Tośmy się znowu czegoś nowego dowiedzieli – rzekł z uznaniem karzołek, a Tyś i Koś mieli bardzo zadziwione miny.

Wśród odbiorców towaru były też karzołkowe rodziny mieszkające w różnych rejonach tego wielkiego lasu, a także sporo innych miłych leśnych klientów w tej opowieści pominiętych, gdyż dzieci już się nudzą tak długą bajką. A przecież jeszcze została cała opowieść o zakupach świątecznych na Wigilię i Boże Narodzenie.

W lesie nastawa jesień, a potem zima. Żółte, brązowe i rude liście szczelnie wypełniały każdy kąt, ścieliły uroczyska i zagajniki. W połowie listopada święty Marcin przyjechał na białym koniu i wtedy lasy i pola najpierw pokrył drobny śnieżek, a po jakimś czasie wielkie, grube, białe płaty spadły z nieba i na świecie stało się białe. Bajerka zamarzła. Woda zastygła

w lodowych okowach i pływanie tratwą nie było możliwe. Nie znaczy to, że flisacy próżnowali. W czasie zimy ojciec karzołek ze swoimi synami nadal dostarczali zakupy leśnym mieszkańcom, lecz przy pomocy sań. Ciągnął je starszy jeleń, który dorabiał sobie w ten sposób do emerytury. Nie myślcie, że była to nazbyt ciężka praca, gdyż sanie z nadzwyczajną lekkością ślizgały się po białym puchu, a jazda przez ozdobiony śniegiem zimowy las, przy akompaniamencie szczyrkających dzwonek, była nadzwyczajną przyjemnością.

Zbliżała się Wigilia i Święta. Karzołki wyruszyły do Skoczowa tym razem po świąteczne sprawunki, rarytasy na wigilijny stół i rozmaite prezenty pod choinkę. A była to już ich ostatnia wyprawa w tym roku. Tym razem mieszkańcy lasu nie stali już przy zakolach rzek, lecz zgromadzili się w jednym miejscu, na dużej polanie, obok paśnika, gdzie leśniczy przywoził siano, żołądź, grudy soli i inne smakołyki dla mieszkańców lasu. Na środku polany stała choinka przyprószona śniegiem, lecz jeszcze bez ozdób i światełek. Zgromadzeni z niecierpliwością wyciągali szyje i wypatrywali karzołków ze świątecznymi sprawunkami. Zanim ich zobaczyli, usłyszeli odległy i cichy, a potem coraz bliższy, przez to bardziej donośny głos dzwonka.

- Dyń – dyń – dyń – dyń!

- Jadą! Już są niedaleko! – ktoś zawołał.

Nagle zza zakrętu wyłoniły się wielkie rogi jelenia, a kłęby zamarzającej pary z jego nozdrzy zasłoniły przez moment widok sań. Po chwili wszyscy już zobaczyli trzech znajomych, ojca, Tysia i Kosia przebranych za świętych Mikołajów.

- A to ci, a to ci! – ktoś znów zawołał. - Pójdź, pójdź!

- Już do was idziemy – odpowiedział karzołek.

Chłopcy zeskoczyli z sań, a ojciec podawał zakupione paczki i prezenty. Utworzono łańcuch rąk, jeden drugiemu przekazywał kolorowe kartony, torebki i worki, a Tyś i Koś kładli je pod choinkę. Niedługo urosła z nich całkiem spora górką. Wtedy karzołek wywoływał każdego ze zgromadzonych i wręczał mu oczekiwaną świąteczną paczkę.

Mieszkańcy nie od razu wrócili do swoich siedzib i domów, gdyż najpierw ozdobili choinkę, a następnie złożyli sobie życzenia i podzielili każdy z każdym tym, co kto miał. Przy okazji wybaczały sobie stare pretensje i urazy. Radosny śpiew kolęd wypełnił polanę i połączył serca członków tej leśnej rodziny. Wysoko po



nieboskłonnie przeleciał jasny, błyszczący meteor, z którego na cały las spłynęły świetlne skry, a kilka ogarków oświetliło choinkę.

Ludzie mieszkający w pobliżu lasu opowiadali sobie potem, że w tenże wieczór widzieli wielką jasność nad borem, a z jego wnętrza dochodziły śpiewy kolęd w jakimś dziwnym języku, ni to zwierzęcym, ni ludzkim. Wkrótce rozeszła się wieść, która trwa do dziś, że jest taka noc, jedyna w roku, kiedy zwierzęta śpiewają i mówią ludzkim głosem. Noc wigilijna.

Słowniczek wyrazów gwarowych występujących w tekście:

babučki – prosiątka

bebok – straszdyło

bicygiel - rower

bómbóny - cukierki

diosek - diabeł

dudława wierzba – spróchniała

heklowane - szydełkowane

kanoldy – cukierki mleczne

karzołek - krasnoludek

klapsznita – kanapka

kopalnioki – anyżowe landrynki koloru czarnego

maroduje – jest na zwolnieniu

maszkiety – smakołyki

obrany szwagrami – obrany rzepami

płoso - głębizna rzeki

pytliczek – tobołek

sakreble – o rety

siarki – zapałki

strózek – siennik wypchany słomą lub leśną trawą

szkloki – landrynki

sztolwerki - cukierki irysy

wósióna – leśna trawa

zafungowało – spasowało

